

KAZIMIERA SKWIERCZYŃSKA ur. 1921; Kijów



Tytuł fragmentu relacji	Szkoła
Zakres terytorialny i czasowy	Puławy; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Puławy, szkoła, szkoła żydowska, Gimnazjum im. Księcia Adama Czartoryskiego w Puławach, nauczyciele, antysemityzm, żydowski uczniowie, żydowscy koledzy, stosunki polsko-żydowskie, Hollakowa, gimnazjum Hollakowej w Puławach, Szkoła Ziemianek w Puławach, mundurek, strój szkolny, tańce, zabawy szkolne, bale maturalne, ceny, podręczniki

Szkoła

Szkoły jeszcze wtedy takiej dokładnej nie było, takiej jako szkoła. Były [klasy] rozrzucone po rozmaitych kamienicach, też żydowskich. Miałam akurat 10 lat, jak przyjechaliśmy, trafiłam do szkoły, były dwie klasy: piąta i szósta, nad Wisłą, w żydowskim domu, w takiej oficynie. Jeśli chodzi o same położenie, to nie było najszcześniejsze, bo przecież wiadomo, że śmietniki się przelewały, a ubikacje były na podwórzu, zresztą trudno do nich było wejść, bo tak wyglądały, że nie zachęcały do uczęszczania tam, do użytkowania. I myśmy tu mieli dwie klasy. To była żeńska klasa, do której ja chodziłam. Do dziś dnia utrzymuję przyjaźnię z tymi niektórymi koleżankami, które jeszcze żyją. Była nauczycielką taka pani Filakówna. To była córka pani Filakowej, która mieszkała pod kościołem. Do dziś dnia jest ten dom. To była taka nobliwa rodzina i z zasadami, i tak dalej. Tam były trzy siostry. Jedna wyszła za profesora Kruka, późniejszego postrachu gimnazjum. A ta pani Filakówna, wtedy jeszcze była panną, uczyła nas polskiego, historii, troszkę biologii. Tak wszystkiego po troszku właściwie. Bo tam były zasadniczo dwie nauczycielki i ksiądz, którzy uczyli. I była pani Araszkiewiczówna, która uczyła matematyki z kolei, tam troszeczkę było teorii fizyki, tak jak do szóstej klasy. Także to zapamiętałam te nazwiska, bo ja dopiero przecież przyjechałam tutaj, nikogo nie znałam, więc człowiek miał wtedy doskonałą pamięć i do dziś dnia je pamięta.

Ale później, po tych dwóch klasach, poszłam do gimnazjum. O innych [szkołach podstawowych] mogę powiedzieć tylko, że pod kościółkiem na górze był taki duży dom, stary bardzo i w tym domu mieściła się część szkoły powszechnej. Była szkoła żydowska na Gdańskiej, ale to była dla Żydów, którzy się kształcili na rabinów później. A tak szkoła niestety była w kawałkach. Ja wiem tylko o tych dwóch szkołach dlatego, bo ja tylko do tej jednej chodziłam, a tutaj pod kościołem to wiem, że była szkoła, bo się chodziło do kościoła, i tam zawsze był rejwach wielki. Była później na Działkach wybudowana ta mała szkółka, która teraz jest uważana za takiego liliputa, ale przed wojną to było wielkie osiągnięcie, że prawdziwa szkoła. To się nazywała pierwsza prawdziwa szkoła, taka z prawdziwego zdarzenia, która miała służyć tylko tym celom, bo tamte

klasy były porzucane po całym mieście.

To były trzydzieste lata. To był okres światowego kryzysu, także tam nie było na nic pieniędzy, bieda straszna, bezrobocie było podobne tak jak teraz, ale ludzie jakoś sobie radzili, tak jak i teraz sobie radzą. Żydki handlowały, a nasi kombinowali gdzieś tam. Zresztą były zasiłki. Ja o tym wiele nie wiem, bo człowiek się tym nie interesował, to dopiero później, jak człowiek nabrał trochę rozumu, to zaczął już na ten temat więcej wiedzieć, no i to co wiem, to już z późniejszych przekazów. Ale później poszłam do gimnazjum. Gimnazjum wtedy było tak jak dzisiaj, to był reprezentacyjny gmach wtedy na Puławy. Taki drugi reprezentacyjny to był [Hotel] Bristol tutaj. To był najwyższy dom w Puławach i uczęszczała tutaj arystokracja miejscowa, no i zamożni ludzie, bo tam było dość drogo. O Gimnazjum im. Księcia Adama Czartoryskiego mogę więcej powiedzieć. Z gimnazjum to już dużo profesorów pamiętam. Nie wiem, czy ktoś jeszcze z nich żyje, bo ja już jestem wiele lat poza Puławami. Więc najstarsi to był profesor Kaczorowski, który jeszcze mego szwagra uczył. Nazywał się Gogu, bo on zawsze jak sprawdzał listę, to: „Gogu dziś nie ma? Gogu dziś nie ma?” I kiedyś jakiś tatuś przyjechał dowiedzieć się o postępy swojego syna i koniecznie pytał się o profesora Gogu. Wszyscy wiedzieli, że to jest ten, profesorowie też wiedzieli, ale każdy się uśmiecha i zaraz do profesora Gogu go zaprowadzą. Więc takie były śmieszności. Poza tym była pani profesorka Boska. Ale to było jej nazwisko, nie to że była boska kobieta, tylko że była Boska. Pani Maria. Bardzo miła i bardzo serdeczna, bardzo taka wyrozumiała, tylko że tak troszkę nazywali ją kobietą z księżycą. Była takiej zielonkawej cery, takie miała liche włoski, prawie jak ja i taka była, bardzo dobra, ale poruszała się tak jak astronauta, na takich sztywnych nogach, ale była bardzo lubiana jako wychowawczyni.

No i co jeszcze ważne, jak ja przyszedłam do gimnazjum, to przyszedł nowy dyrektor jednocześnie. Co do tego dyrektora to później były zastrzeżenia, bo on się nazywał Feist, Aleksander Feist. Miał żonę zdecydowaną Niemkę, a córki później chodziły z oficerami niemieckimi. Ale przyszedł jako zasłużony pedagog i tutaj nawet, w międzywojennym trakcie, dostał złoty krzyż zasługi jako pedagog. Był dyrektorem na pewno dobrym. Większość profesorów to mieliśmy ze Lwowa, bo Lwów za czasów austriackich stał dość wysoko. Tam nie było żadnych prześladowań. Także ci profesorowie, którzy do nas przyszli, to byli ludzie, rzeczywiście, przeważnie już po wyższych studiach, no i byli bardzo wymagający. Także nasze gimnazjum bardzo wysoko stało, jeśli chodzi o opinie. Nasi wszyscy uczniowie dostawali się na studia, niektórzy później osiągnęli bardzo wysokie godności. Jeden z nich był później tutaj dziekanem, a taki Władysław Węgorzek to nawet był rektorem w Poznaniu później. To jeszcze go pamiętam, bo był parę lat straszny ode mnie. Także był poziom wysoki. Był tutaj taki słynny profesor Kosiba. We Wrocławiu jest jego ulica nawet. Ja spotkałam go później we Wrocławiu. Miał fenomenalną pamięć ten człowiek. On potrafił, mając wielu studentów i wiele znajomych, on potrafił mi powiedzieć: "Proszę pani – to już we Wrocławiu – a czy w waszej klasie był taki chłopak, który się nazywał Łakomy?" Łakomy – tu mieli młyn chyba na Wólce Profeckiej. Ja mówię: "A pan profesor go zapamiętał?" "Proszę pani, ja go zapamiętałam, bo jego matka zaszyła mu kieszenie, żeby nie wkładał w spodnie". Wtedy się bardzo przestrzegało, żeby uczeń się nie tylko dobrze uczył, ale żeby się zachowywał. Były lekcje i wychowawcze. Młodzież wiedziała, że profesorom na ulicy, choćby dziesięć razy go się spotkało, trzeba się było kłaniać. Zachowanie wobec dziewczynek: że nie musiało się jej walić, ani ciągnąć za włosy, tylko że miał być pewien szacunek. Oczywiście w młodszych klasach to nie było bardzo przestrzegane, ale wiem, że takie rzeczy były.

Później był nasz ukochany profesor od polskiego, profesor Krajewski, który po wojnie znalazł się w Poznaniu. Później był profesor Zinkiewicz, który po wojnie objął tutaj dyrektorowanie gimnazjum, które po wojnie powstało na nowo. No i jeszcze wielu takich innych, których może

pamiętam, ale dokładnie już szczegółów – nie, tylko pamiętam z czego byli tacy srodzy. Postrachem to był profesor Ulwański. On uczył niemieckiego i był strasznie wymagający. Chciał nas od razu wciągnąć w tok języka, tak jak on brzmi, także tam ani słowa po polsku nie było. A jak przyszły takie biedronki jak my, z całego świata, nikt nie był na to nastawiony. On wpadał do klasy, cisza zalegała: "Siad!" – wszyscy siadali, później kogoś wywołał, niektórzy ze strachu to nawet nie wiedział, że to o niego chodzi. Straszny był takim cerberem u nas, ale później jak byliśmy w starszych klasach, to okazuje się, że miał swoje słabostki, a słabostką to była polityka i sport. Jak któryś z takich uczniów: "Ale panie profesorze, ale jaki mecz był wczoraj!". No to oczywiście profesor już tak topniał, topniał i dał się wciągnąć. Później ze zdumieniem słyszy, że już dzwonek na koniec lekcji, a tutaj niewiele się nauczyły. Myśmy przeżyli okres najazdu włoskiego na Abisynię [Etiopię], to wtedy była głośna historia. To był trzydziesty szósty rok i wtedy się dużo o tym rozmawiało. I wtedy się profesora naciągało na te rozmowy. Także mieliśmy na niego haczyk, ale to już w starszych klasach, a w młodszych klasach to tak dwóje sypały się jak ulęgałki. Ale dużo [myśmy] skorzystali, bo jak przyszli Niemcy, to myśmy umieli się porozumieć z Niemcami. Myśmy swobodnie rozmawiali, do tego stopnia, że uważali, że my jesteśmy volksdeutsche.

Później z takich też postrachów gimnazjum to był profesor Kruk. Uczył fizyki i chemii. To też jak on wchodził, to grobowa cisza zalegała. A wiem, że on nie lubił Żydów. A po tym poznaję, że nasze Żydóweczki, koleżanki, one sobie spolszczały imiona. Na przykład moja bardzo bliska przyjaciółka nazywała się, w metryce żydowskiej, nazywała się Perla, ale w szkole nazywaliśmy ją Pola, a profesor Kruk każdego Żydka tak właśnie z tego imienia żydowskiego wymieniał, tak jak była w dzienniku zapisana. To nie wszystkim się podobało, tym Żydkom, bo oni już nosili takie imiona, jakie sobie wybrali tutaj. Była też koleżanka, która się nazywała Łajla, Łajle. Myśmy ją nazywali – Lola, żeby to ładnie brzmiało, a profesor nie darował. Ona musiała być Łajla, czy jakieś takie miała wyszukane imię. Tak samo Żydzi to były różne Jankiele i Mojżesze, ale spolszczaliśmy im te imiona jakoś, no i im to było bardzo przyjemne. Więc to było też taki postrach, że była cisza. Był bardzo wymagający i straszny satyryk. Tak sobie wykpiwał z takich różnych powiedzonek.. Na przykład jak kiedyś jakiemuś uczniowi powiedział, że ma dwóję: "Ale panie profesorze..." "Cicho." "Panie profesorze..." "Ale panie profesorze..." "Nie ten, kto mówi: 'panie, panie' wejdzie do Królestwa Niebieskiego". O takie miał zagrywki. Ale ci, co byli dobrymi uczniami, to go bardzo chwalili, że był bardzo dobrym opiekunem, to znaczy wychowawcą i że bardzo dbał o swoich uczniów, żeby im się krzywda nie stała. Z tym że jeszcze była taka sprawa, że w ósmej klasie był kolega z Końskowoli, też z dużo starszej klasy od nas wtedy i też się nazywał Kruk i też na imię miał Franciszek. No i wtedy mówiono: "Kruk Krukowi oka nie wykole", ale ponieważ on był w matematycznej klasie, ten chłopiec, więc krzywdy mu profesor nie musiał robić dlatego, bo on był dość mocny jeśli chodzi o to.

Gimnazjum było koedukacyjne, z tym że były jeszcze resztki żeńskiego gimnazjum pani Hollakowej, której ulica teraz jest tam koło dworca. Bo ja teraz jak dojeżdżam tu, to dużo osób pyta się, kto to była pani Hollakowa. To była dyrektorka tego gimnazjum. Zresztą ona jest pochowana na Włostowicach, to jest taki wielki grób: Hollakowie, Mostowscy i jeszcze kilka nazwisk. Taka duża rodzina, bardzo zasłużona dla miasta. Więc pani Hollakowa miała wtedy, pamiętam, na maturze to było chyba osiem czy dziewięć tych pańienek. I one przychodziły na niektóre przedmioty do gimnazjum, bo ta szkoła Hollakowej mieściła się, no, dzisiaj z tego śladu nie ma. Była bardzo ładna szkoła, na takich białych kolumnkach. Było bardzo sympatycznie i te pańienki uczyły się aż do matury jako tylko żeńska wyłącznie szkoła. Z tym, że później już, po maturze, to już nie wznawiana. Zresztą pani Hollakowa już była starsza, także ona już nie prowadziła tej szkoły. To tylko było [w] tych dawnych czasach, one były dużo starsze od nas. Jak

ja zaczęłam chodzić, to one już kończyły maturę. Kilka było takich, rzeczywiście wszystkie wcześniej powychodziły za mąż, bo były bardzo ładne i takie dobrze ułożone.

Poza tym u nas jeszcze była Szkoła Ziemianek. To do dziś dnia tamten dworek został, tylko że niestety to nie jest szkoła teraz. Teraz to jest chyba szkoła melioracyjna, o ile się nie mylę. To jest tam za gimnazjum. Tam gdzie ZEOL [obecnie LUBZEL]. Tam jest taki ładny biały dworek i tam było [Obecnie jest tam MDK]. To była żeńska szkoła też. To była dla pań, ziemianek, które pochodziły z ziemiańskich rodzin i one tutaj uczyły się na dobre gospodynie, ale to były wszystko dziewczęta po maturach i już one przeważnie były pozaręczane i tutaj przychodziły na taki, zdaje się, dwuletni kurs i uczyły się gospodarstwa, hodowla bydła i roślin, i to co takiej pani jest potrzebne. Uczyły się piec różnych smakołyków. Także to była wyłącznie żeńska szkoła. To z tych, co ja pamiętam.

Jeśli [chodzi] o gimnazjum, [to] wtedy jeszcze było dwustopniowe, bo stary typ był od pierwszej do ósmej, a później nowy typ przyszedł od pierwszej do czwartej, a później liceum było dwuletnie. To już było po reformie, to było gdzieś po trzydziestym szóstym roku, także nasze pokolenie już szło tym nowym stylem. I matura była po dwu latach liceum. To przeważnie w osiemnastym roku życia się kończyło. Ale myśmy już nie zdążyli dlatego, bo wojna wybuchła i Niemcy najpierw obiecali, że otworzą i tam, zdaje się, tydzień czy dwa było, a później czym prędzej zamknęli.

Strój szkolny był ściśle określony i do szkoły nie można było chodzić byle jak, jak się chciało, tylko były mundurki. Dla dziewczynek była granatowa spódniczka i bluzeczka: na święta biała, a na co dzień jakaś granatowa, a przede wszystkim – fartuszek, czarny czy granatowy fartuszek z białym kołnierzykiem. I tarcza obowiązująca na rękawie. Chłopcy mieli mundurki też. Niższe klasy miały kolor niebieski, to wypustki w spodniach były niebieskie, a w starszych klasach były czerwone. Tak samo czapki chłopców były okrągłe, tak jak maciejówki. Na czapce musiał być znaczek, to był znicz, kaganek oświaty i wypustka też miała być u chłopców, tutaj gdzie jest te denko, to tutaj wypustka musiała być niebieska albo czerwona. U dziewczynek – nie. Ale były jeszcze tarcze obowiązujące. I obowiązkowe były w ogóle nakrycia głowy, od początku aż do końca roku szkolnego. Nawet jak się przychodziło na zakończenie roku szkolnego, to koniecznie był mundurek. Poza tym jeszcze co, dziewczęta obowiązywały ciemne pończochy i fildekosy. Wtedy nie było ani stylonów ani nylonu, ani nic takiego. Jedwabne to już później się nosiło. A poza tem właśnie była ta dyscyplina, że nauczyciele tego przestrzegali. Jeszcze co, numer tarczy w Puławach był 496. Dla niższych klas był na niebieskim tle, dla starszych klas, licealnych, były na czerwonym. Ten sam wyszyty numer, ten 496, to trzeba było nosić. I tak samo młodzieży na ulicy nie wolno było się bez czapki pokazywać. Dziewczynki musiały mieć berety, a chłopcy – czapki. Przez całą wiosnę, aż do końca roku.

No i mieliśmy tego profesora Kruka, który był zawsze taki dandys, elegant, i miał piękny, pilśniowy kapelusz. I kiedyś zdarzyło się, że na ulicy przechodząc spotkał coś cztery razy jednego tego samego ucznia, czy grupę uczniów, którzy mu się kłaniali, bo taki był obowiązek. W końcu zatrzymał się i mówi: "Co ja mam na głowie?" "Kapelusz, panie profesorze." "Jaki ten kapelusz?" "Pilśniowy." "Czy wy wiecie, ile razy ja go muszę dotykać, żeby go zdjąć jak mi się kłaniacie? Wystarczy, jak raz mi się na ulicy!" To była tak śmiesznośćka. O drugim profesorze, który się nazywał Broniewicz, to znowu była też taka zabawna anegdota, że kiedyś jeden uczeń nie zdał do następnej klasy przez historię. Bo to był też taki nauczyciel ze średniowiecza, wszystko musiał mu uczeń powiedzieć, tak jak było w książce. No, a uczniowie nie zawsze mieli zapał do historii i tego ucznia - on go oblał i nie dostał promocji do następnej klasy. I ten uczeń

kiedyś do niego podszedł na ulicy i prosił go, żeby mu nie stawał już na świadectwie, to znaczy jeszcze było przed wystawieniem na świadectwie. No i był taki rozżalony, bo bał się batów od rodziców i chciał wyciągnąć chustkę, a stary profesor: "Strzelaj bandyto! Historyk śmierci się nie boi!" Nie wiem, czy to była anegdota, ale o tym mówili. Myślał, że on rewolwer może mieć i wyciąga, a on tylko chustkę z zapłakanyimi oczami, żeby obetrzyć. Czy nawet "filozof"?" "Filozof śmierci się nie boi", bo on tak troszkę na takiego filozofa zgrywał. Też stara rodzina puławska, też oni są na Włostowicach pochowani. Miał pięknego syna, który w czasie wojny znalazł się w Anglii. Był lotnikiem i po wojnie przyjechał do Polski. Dom im rozebrali. Mieli tu naprzeciwko nas dom, taki stary, drewniany dom. Rozebrali im. Były takie piękne orzechy. Wycięli. No i rodzina też się już rozsypała.

Ale wracać do tych mundurków. Więc były bardzo przestrzegane, żeby żadnej pstrokaczny w szkole nie było, żadnych jakichś ozdób, u chłopców [o] jakichś kolczykach w uszach to mowy nie było, dziewczynkom żadnych takich błyskotek nie można było nosić, bo nauczyciele zabierali. Zabawy były też bardzo przyzwoite. Również były mundurki, ale świąteczne. Więc na przykład u dziewcząt biała bluzka i plisowana spódnica, a chłopcy albo jeżeli nie miał drugiego, to porządnie wypucowany mundurek, ale przeważnie były jakieś w domu zapasowe takie świąteczne, z błyszczącymi guzikami i tutaj też chłopcy mieli na rękawach te wypustki zależnie: niebieskie albo czerwone. I bardzo przyzwoicie się towarzystwo zachowywało. Nie było żadnego alkoholu, oczywiście, bo komitet rodzicielski o to dbał. Jak była przerwa w tańcach to byli wszyscy zapraszani do stołówki i tam każdy dostał, na talerzu miał już przygotowane, co tam komitet rodzicielski zorganizował. No i to się zjadło, wypito się, zdaje się, starsi chłopcy tam gdzieś jakieś piwsko chyba mieli, ale o tym historia nie mówi, bo żadnej awantury nie było. Nigdy nie było. Bawili się grzecznie. Z tym że w młodszych klasach raczej ta zabawa nie była wesoła, bo tak: chłopcy byli smarkaci, wstydzieli się podejść, nas zaprosić. Więc często chłopcy podpierali ściany, jak się mówiło, a dziewczynki tańczyły ze sobą. No więc później profesorowie chcieli ośmielić trochę tych chłopców, to sami prosili dziewczynki, tym większy był strach, że później jak profesor zobaczy, że on tańczy z koleżanką, może sobie coś złego pomyśli. Mieliśmy 14, 15, ale dzisiaj młodzież sobie z tego nic nie robi. Ale wtedy były takie rygory. No i były te bale, takie już maturalne, takich dorosłych, wtedy już wszystko przychodziło w cywilu, ale dopóki jeszcze był w szkole, nawet matury póki nie zdał, obowiązywały właśnie takie stroje, mundurki po prostu.

Po wojnie doszli do wniosku, że to mundury, to było za carskiej Rosji, że to było takie umundurowanie młodzieży, no i zrobiła się pstrokaczna. I pięć kolczyków w jednym uchu, albo te kolorowe szmatki, i te nieuczesane głowy. To przecież i chłopcy rozczochrani chodzili i nie pozwoli sobie nic powiedzieć. Siostrzenica miała przypadek w szkole w Nałęczowie, że chodzili też tak byle jak, to profesor dał im pieniądze: "Idźcie się ostrzyc". To oni poszli i na łysą pałę się ostrzygli. I zrobili profesorowi na złość. A on wcale się tym nie przejmował, mówi: "Nareszcie porządnie wyglądacie". Ale to już było po wojnie znacznie. Na szkolne bale maturalne orkiestra wojskowa przychodziła. Bo nawet mojej koleżanki z klasy tato był dyrygentem, sierżant. I on tam dyrygował tą orkiestrą i zawsze orkiestrę miała szkoła zapewnioną. A orkiestra wojskowa jak zagra, to człowiek sam skacze. Także orkiestrę mieliśmy. Zaczynała się mazurem, a kończyła polonezem, albo odwrotnie. Tego już nie pamiętam. Ale wszyscy umieliśmy tańczyć mazura, bo na gimnastyce to obowiązkowo wszyscy musieli [się] nauczyć mazura i poloneza. A oprócz tego były inne, ludowe tańce, nawet występowaliśmy przed publicznością. Także było to jakoś prowadzone z sensem. Tańce były przyzwoite, były tango, walce. To były piękne tańce i takie właśnie przyjemne, nie tak jak teraz, ta hurma tej młodzieży skacze, głowami trzęsie, człowieka przerażenie bierze. I nie było żadnego alkoholu nigdy. Jeżeli gdzieś kogoś przyłapali, to go

szybko tam likwidowano gdzieś na boku.

Były bale w Starostwie. To moja siostra szalała, z kolei. To były już takie bale miejskie, ale to było dla porządnego towarzystwa. Chyba dancing był w tym Bristolu, ale to wszystko było porządne, nie było tej hołoty co teraz. Bo ja wiem, że myśmy w szkole bardzo przyjemnie się bawili. Były inne czasy. I był pod nadzorem, także to nie było siły, żeby jakieś awantury były. Ja nie zdążyłam matury zrobić do wojny. Bo akurat miałam rok maturalny przed sobą i Niemcy przyszli. Także ja już nie miałam [balu], ale wiem że moi poprzednicy, to te bale były. Tylko, że to też było wszystko tak przyzwoicie, to nie było tak jakoś robione, tak na chama, jak się teraz mówi. Przedstawiciele rodziców byli, bo przecież był komitet rodzicielski. I ja, przyznam szczerze, nie pamiętam, żebyśmy się składali na te zabawy. To organizowała szkoła. Także były jakieś pieniądze. No, komitet rodzicielski był dość drogi, bo 3 złote miesięcznie się płaciło. Panu dzisiaj 3 złote to się wydaje, że to nie ma się czym przejmować, ale 3 złote to był pieniądz. I co miesiąc płaciło się 3 złote. To były organizowane wycieczki, dopłata, na przykład, do jakichś wycieczek, czy do jakichś takich imprez. Myśmy mieli imprezy sportowe. Mieliśmy znakomitą drużynę siatkówki, zarówno męskiej jak żeńskiej. Wyjeżdżaliśmy do innych miejscowości i zawsze wracaliśmy z tarczą. Także jakoś właśnie były te osiągnięcia.

Nie wszystkich było niestety stać [na naukę w gimnazjum]. Półrocze kosztowało 110 złotych, a dzieci pracowników państwowych miały 50% zniżki i płaciły za rok 110 złotych, to znaczy dwa półrocza po 55. Także to było drogo. A pieniądze naprawdę miały wartość. Przecież za 40 złotych można było krowę kupić. A mieliśmy takiego właśnie słynnego profesora Kolibę, który żądał, żeby każdy miał atlas. Wtedy wyszedł atlas Romera, taki bardzo dobrze opracowany. To ten atlas kosztował 40 złotych. A on wymagał, żeby każdy uczeń miał swój atlas. No gdzie takiego biedaka, kogoś z rodziny biednej, było stać na to. To się urządzali tak, że pożyczali sobie nawzajem, albo się wspólnie kupowało i później każdy tam na lekcję przynosił, jeżeli z różnych klas, bo to we wszystkich klasach było obowiązujące. To później on się wziął na taki sposób, że kazał podpisywać atramentem. To już było gorzej. Że to ma być jego własny atlas. A później się dowiedziałam, już jak przyjechałam do Wrocławia, spotkałam jego rodaków, on pochodził z Rzeszowskiego, z największej biedy, z bardzo biednej rodziny. Ale dochrapał się stanowiska na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. I dlatego może on bardzo ten atlas tak popierał, bo tam było jego nazwisko, jako współautor. Bo on był na Grenlandii, był na Spitsbergenie i brał w tym udział. No i uważał, że to jest Biblia. To jest rzeczywiście bardzo dobry atlas. Ja widziałam ten nowy, to jest obrzydliwy. Przede wszystkim zły dobór kolorów i nie jest tak wyczerpujący jak tamten. Tamten był bardzo dobrze opracowany, ale wymagać od każdego, żeby 40 złotych, kiedy półrocze kosztowało 55, czy 110. Także to też wymagali. A zeszyt – to było też święte правило – zeszyt musiał mieć cztery centymetry marginesu, to znaczy że jakieś tylko 2/3 zostawało. Bo to musi być na jego poprawki. Ale on tych zeszytów prawie nigdy do domu nie zabierał i właściwie trzecia część zeszytu się marnowała. Zeszyt kosztował 10 groszy, a to były też pieniądze. To już jak uczeń dostał w domu 10 groszy, to już był pełen szczęścia, bo mógł sobie i lody kupić, i bułkę. Bułka pszenna to już był rarytas dla wielu dzieci. Także takie były wtedy obyczaje. Nauka była droga, drogo kosztowała.

Data i miejsce nagrania	2003-04-23, Puławy
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"